ROK CZWARTY.

№ 42.

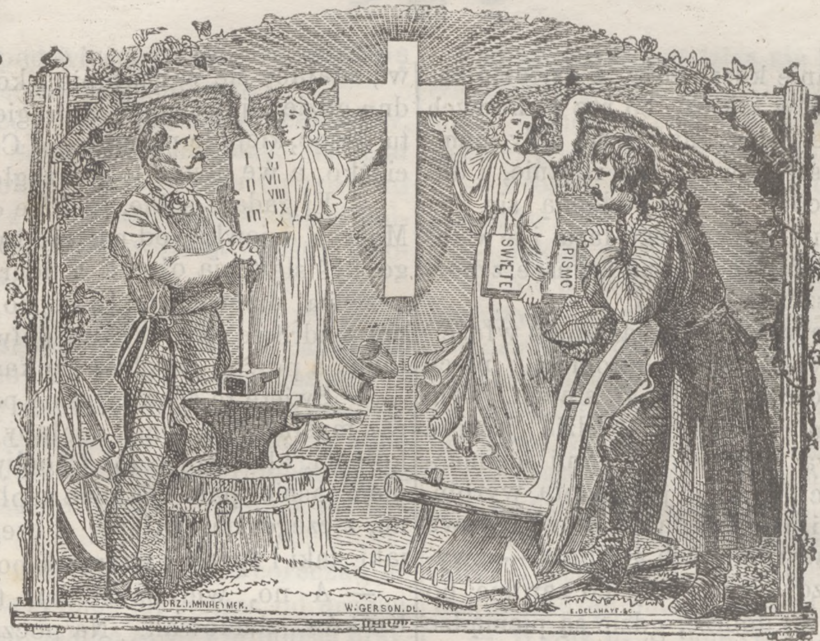
WARSZAWA

D. 4 (16) październik.

1859.

Niedziela

18ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Błagamy Cię Panie! niech miłosierdzia twego działanie zarządza naszemi sercami, albowiem bez Ciebie podobac się Tobie nie możemy. (Kollekta na Niedzielę ośmnastą po Świątkach).

Pieśń rolnika.

Nie znam, co to niepokoje:
Czyli rola da mnie chleba;
Śmiało co rok ziarno moje
Pod opiekę rzucam nieba.
A gdy rzucam, mojej dłoni
Przewodniczy palec Boży;
On przed mrozem je zasłoni
I pod ziemią je rozmnoży.
Na mą rolę deszcz i rosy
Z niewidomej płyną ręki;
Rzucam ziarno, wstają kłosy,
Boże! Tobie za to dzięki!
Kiedy wiosną zagon szary
Nieurodzaj mi zawróżył,
Bóg próbuje mojej wiary,
Lub na karę jam zasłużył.
On nasz ojciec, za znój trudów
Nie odmówi w pomoc ręki,
Jemu nie zabraknie cudów,
Byle stało nas na dzięki!

Dobry uczynek nagrodzony.

Przed dwudziestu laty, a może jeszcze i dawniej, wiadomo, jak to niektórzy właściciele nie bardzo dbali o ziemię w ich dobrach leżącą odłogiem. Gdzie lepszy kawałek, to kazał obsiewać, a gdzie lżejsza rola, albo naprzykład daleko mu było nawóz wywozić, to sobie leżało pole od roku do roku. W okolicach Warszawy, tak o 5 lub 6 mil, szczególniej też ku Podlasiu koło Ossowicy i po innych kątach, lasów było dosyć—więc cięło się z roku na rok to na tarcice, to na belki lub klepki, a krzaki z pniami stały sobie po kilka i kilkanaście lat bez użytku; albowiem

na wykarczowanie koszt duży, a dziedzic zazamiast wydatków takich, co raz to nowych potrzebował pieniędzy. Zjawili się tedy niemcy, jak i teraz się zjawiają rok rocznie, i dalejże do dziedziców, że oni podejmą się wykarczować grunta z wyciętego lasu, i że wkupne opłacą, a potem coroczne czynsze z morgi do dworu uiszczać będą.

A! bardzo dobrze, pomyślał sobie właściciel; ma mi ziemia leżeć odłogiem, niech sobie tam karczuje i budynki stawia. Tym więc sposobem powstało i dziś jeszcze ciągle przybywa mnóstwo kolonij niemieckich; bo niemiec jak sobie już grunta wyrobi, chałupę postawi, to sprzedaje kolonię i znowu dalej szuka niewyrobionych gruntów — zwyczajnie jak cudzoziemiec, aby co zarobić; bo jemu wszędzie jest dobrze, gdzie są pieniądze i ludzie tak krótko patrzący, jak niektórzy u nas właściciele.

Widząc to nasi chłopi, jak niemcy na tych koloniach dobrze wychodzą, że przyjechawszy jednym konikiem z pustą kieszenią, wyjeżdżają kilku furami z dobrze nabitą kaletą, dalejże ciułać potrochu grosiwo na dobytek jaki taki i na wkupne, a potem szukać gruntów, stawiać chałupy i być takimi jak niemcy kolonistami. Bogiem a prawdą, źle na tem nie wyszli; który pracował szczerze a uczciwie, który oszczędzał, zapobiegał, to dziś ma dobry kawałek chleba, co go i dzieciom zostawi; ma swobodę, bo jak zapłaci panu czynsze, a skarbowi podatki, pójdzie kilka dni na rok odrobić dworowi, a gminie szarwarku, to sobie pan, taki dobry jak inny: nie zna, co to pańszczyzna, przed ekonomem i czapki nie zdejmie, a z karbowym jak wypije kieliszek wódki, to mu jeszcze wielką przez to łaskę zrobi.

Otóż przed dwudziestu pewno laty we dworze u pana Zakrockiego służył parobek Sebestyan Guzik, chłop dobry, uczciwy; do karczmy nie zaglądał i pan go lubił bardzo.

— Słuchajno Sebestyanie, rzeknie raz do niego dziedzic... lata ci idą, a czemu się nie ożenisz? Przecież z żoną szłoby ci jakoś sporzej, a tak, chociaż ja kontent jestem z ciebie to prawda, ale służysz i służysz i jakoś nic nie masz.

— Prawda to, oj prawda jaśnie panie, mówi Sebestyan, kłaniając się do nóg dziedzicowi; zdałaby się w chałupie i kobieta, ale jedno gdzie jej ta szukać, a drugie, do czego się tu wziąć, kiej nie ma z czego? Człeku samemu ciężko, a we dwoje to ino zagłoba...

— Ej gadasz sobie, rzeknie dziedzic, toć i Maryna dziewka od nas nie byłaby od tego, gdybyś się z nią ożenił, a dobra, pracowita i uczciwa dziewczyna; a co do drugiego, toć masz zdrowe ręce. Weź oto półwłóczek na kolonię, a powoli dorobisz się kawałka chleba..

— Święte te słowa jaśnie pana, jać to nie raz myślałem o tem, zdałaby się i Maryna i kolonia, ale z czego to? Choćby z przeproszeniem jaśnie pana wkupne zapłacić jaśnie panu, z czego na chałupę, z czego na dobytek jaki taki i sprzęt i wszystek porządek?

— A no, widzisz Sobku, toć nie odrazu Kraków zbudowali. Na początek daruję ci wkupne, drzewo będziesz miał na chałupę, Marychna u pani ma 200 złotych zasług z lat kilku, ty u mnie ze 150 albo i więcej. Wesele ci sprawimy we dworze, panna Rozalia obiecała Marychnie jałówkę, w czworakach możecie tymczasem mieszkać. Marychna będzie chodziła na zarobek, a ty karczuj; choćbyś i żyta posiał między karpami, to obrodzi na pierwszy rok, a nim wiosna przyjdzie, to sobie i pod kartofle ze dwie morgi oczyscisz.

— O! niechże jaśnie panu Bóg Najwyższy to wynagrodzi, zawoła uradowany Sebestyan, padając do nóg dziedzica i dziękując za taką łaskę; a toć całe życie będę się modlił do Pana Boga za jaśnie pana i za całą familię... a czy ja się takiej łaski spodziewał!

I kontent całował nogi panu, i dziękował pani i pannie Rozalii, a z Maryną zaraz tego wieczoru o wszystkiem się rozgadał i o żeniaczkę się ułożył.

Jak powiedział dziedzic, tak się i stało: we dworze państwo sprawili im sute weselisko, a po Nowym-roku osiedli młodzi w dworskim czworaku. Do samej wiosny to jedno to drugie chodziło na zarobek, a czasem i dwoje na dzień, więc i z tego kapnęło kilkadziesiąt złotych. Później Sebestyan jął sobie wycinać drzewo na chałupę i zwozić potrochu, a jak rozpuściła ziemia, dalejże do karczowania. W pierwszym roku nie wiele tam i było tych urodzajów, ale zawsze zebrało się trochę kartofli, trochę gryki, owsa, dość, że wiążąc jedno z drugiem przy ciągłej pracy, przebył ten rok

szczęśliwie, a pod wiosnę już też i na chałupę miał cały materyał przygotowany.

Z pomocą tedy Bożą, dziedzica i sąsiadów, sklecił sobie Sebestyan chałupinę; nie miał słomy, więc pokrył trzciną, sam wymurował komin częścią z cegły, częścią z kamieni polnych, słowem miał już swój kąt własny, swoje gospodarstwo.

Od roku do roku zapomagał się coraz lepiej nasz Sebestyan; żona chodziła koło domu jako pracowita i oszczędna gospodyni. I drobiu trochę i nabiału; to prosię przychowała, to owieczkę kupiła, to sprzedała, to kupiła, aby ino wyleść z biedy, wygramolić się na czysto, żeby swoje płacić i nikomu nie być dłużną.

Tymczasem Pan Bóg dał dwie córeczki, jedna o cztery czy pięć lat starsza od drugiej. Obie dziewczyny matka zaraz z młodości przyzwyczajała do pracy, do ochędóstwa i oszczędności tak, że wkrótce miała z nich pociechę, bo dziewczyny rosły na chwałę Boga, a na podziwowisko ludzi.

Kiedy się tedy Sebestyanowie już zupełnie urządzili, a w domu był dostatek, w polu urodzaj i w dzieciach Bóg błogosławił, umiera pan Zakrocki dziedzic tej wsi. Wdowa trzymała się jeszcze lat kilka, ale bez mężczyzny samej kobiecie gospodarstwo trudne. Przytem było trzy córki, każdej trzeba coś dać; więc biedaczka musiała z wielkim bólem serca sprzedać ową wioskę i wyniosła się na mieszkanie daleko, bo podobno aż do Krakowa.

Sebestyan był jednym z tych, którzy odwozili pani rzeczy do Warszawy. Nie wiadomo, czy się przeziębił, czy zdźwigał, bo bardzo forsownie podnosił przewróconą furę w owej drodze, dosyć, że wrócił słabując, i coraz gorzej i coraz gorzej, to mizerniał, to kaszlał, to krwią pluł, aż nareszcie w same ostatki Bogu ducha oddał.

Jeszcze biedna Maryna nie otarła łez po śmierci męża, jeszcze opamiętać się nie mogła, co się to z nią stało, gdy jednego dnia nakazał jej sołtys, aby się do dworu stawiła z papierami, jakie ma na ową kolonię. Majętność tę kupił podobno jakiś bogaty i młody pan, który obok miał duże już dobra, ale w nich nie mieszkał, bo opiekunowie wysyłali go rok po roku na wojaże za granicę, a sami jak szare gęsi plądrowali po majątku.

I teraz nawet dziedzica nie było, tylko jego rządca czy plenipotent. Kiedy więc Sebestyanowa stanęła przed nim we dworze, on kazał, żeby mu dała swoje papiery.

— Proszę W. pana ja żadnych nie mam papierów.

— Jakto, ani kontraktu, ani konsensu?

— Nic a nic proszę W. pana, bo mój nieboszczyk i ja służyliśmy oto we dworze u nieboszczyka dziedzica Zakrockiego; on nam dał piętnaśnie morgów na kolonię, kazał płacić po 4 złote z morgi jak i drudzy. Myśmy ten grunt wykarczowali, budynki postawiali, a kontraktu żadnego nie mamy, bo się o niego i nikt od dwudziestu lat nie zapytał.

— Ha! moja kobieto, to źle, że nie macie, odrzekł plenipotent, rozglądając się po mappie wsi, a wodząc palcem, mówił do ekonoma:

— Wszak to to pole Guzika, tak?

— Tak panie.

— Grunta dobre, właśnie pod lucernę albo koniczynę, zapewne przegnojone, dotykają naszego pola... trzeba będzie z nią skończyć.

— No, moja kobieto, pan mój nie chce waszej krzywdy, rzeknie do struchlałej Sebestyanowej, która już trochę zmiarkowała, o co to idzie; nie macie żadnego pisma, to i na gruncie siedzieć nie możecie. Każę otaxować budynki wasze co są warte, i za nie dostaniecie pieniądze, a na wiosnę trzeba się wyprowadzać.

— Zlituj się wielmożny panie, zawoła rzucając mu się do nóg Sebestyanowa, a gdzież ja się biedna kobieta z dziećmi podzieję? a toć my z nieboszczykiem mężem całe pole własnemi rękami wykarczowali, a na to, że nam przeszły dziedzic oddał te grunta, są jeszcze świadkowie i żyją, to powiedzą, jako tak jest...

— Co było, to ja nie wiem; mnie trzeba czarnego na białem moja kobieto. Trudna rada, trzeba się było pilnować. Chcecie, to dobrze, a nie to pójdę do sądu i wyrzucą was z chałupy i nic nie dostaniecie.

— O mój Boże, mój Boże! zawołała kobieta, płacząc i kłaniając się do nóg plenipotenta, a toć mię nie wypędzaj wielmożny panie, a toć miej litość nad moim wiekiem i mojemi dziećmi. Choćby i więcej płacić z morgi albo odrabiać, to będziemy odsługiwać wielmożnemu panu, a ino zostaw nas w tej chałupie i przy tym gruncie, któryśmy z taką pracą obrobili...

— Moja kobieto, nie mam czasu na gadanie z tobą, idźże sobie z Panem Bogiem i nie płacz mi nad uszami!

— To może jaśnie dziedzicby pofolgował, odezwie się z bojaźnią Sebestyanowa; toć niech W. pan powie, kaj go szukać, to jabym o proszalnym chlebie, a poszła choćby na koniec świata.

Uśmiechnął się na to plenipotent, ale widać, że go to rozgniewało bardziej, bo krzyknął: A cóż to ty myślisz, że dziedzic nie zgodzi się na to, co zrobię? Ja tu teraz dziedzic, rozumiesz?... ja! Panie Sokalski, mówi do pisarza, przygotuj list do adwokata, niech rozpocznie proces w sądzie, a panie ekonomie grunta na wiosnę orać pod koniczynę.

No, no idź sobie idź, woła na Sebestyanowę, która całowała go po rękach i po nogach; no idźże, bo cię każę wyprowadzić...

Musiała tedy wyjść Sebestyanowa, a choć dochodząc do domu, ocierała oczy, aby dzieci jej smutku nie poznały, to jednak starsza Salusia zaraz spytała:

— Czego to matula takie czerwone oczy mają? matula płakała, co?

— Matulu, rzeknie młodsza Zośka, czy matulę wybili u wójta? Ale posłuchajcie, jak ja już czytam. Ot dziaduś Jan przyszli i pokazują mi... Widzicie matulu, tu, tu przy piecu.

Stary zakaszlał i dopiero Sebestyanowa spojrzała ku niemu. Ten dziaduś Jan był to sobie pewno ośmdziesięcio-letni siwiutki, zgarbiony i kaszlący starowina, dziad proszalny. Kiedyś w tej wsi urodzony, później żołnierz, następnie mularz z professyi; póki lata starczyły odsługiwał się jak mógł za kawałek chleba. Przyszła starość, żona, dzieci wymarły, więc latem reparował kominy jak mógł, a zimą torbę na plecy, kij w rękę i szedł od wsi do wsi od chałupy do chałupy; a wszędzie przyjęto go dobrze, bo dziadka starzy i dzieci lubili, bo on i umiał poradzić i dawne rzeczy opowiedzieć, a był wesół zawsze i kontent z tego, co mu dano.

— Zimno Sobkowa, zimno, co? odezwał się starzec.

— Oj! zimno, mróz swiszczy, aż mi oto oczy wymroził...

— Ej! mamuniu, szepnie jej do ucha Salusia, to nieprawda, coś się tam stało we dworze, mamunia strasznie spłakana.

— Ha! byłoć ta było, ale da Bóg, może się to odwróci; pogadamy potem, a teraz daliście dziadusiowi jeść, hę?

— Daliśmy matulu, odpowie Zośka, ja moje kluski, co zostały z obiadu.

— I ja kartofle swoje...

— Oj! dobre macie dziewczyniny, dobre, moja Sobkowa, ale i piec grzeje. Pamiętacie Sobkowa, mówi dziaduś Jan, jakem ja to waszego Sobka mustrował przy onym piecu; stoi też kieby żołnierz na widecie, palą i palą, a on się nie rusza.

— Oj prawda, prawda, odrzeknie Sobkowa, z was dobry był majster.

— Ha, gadają ludzie, że tak niby, ale oto i ten majster pójdzie nie długo do Pana po obrachunek; strasznie już osłabł, a krzyże, a nogi, a dusi calutką noc. Wiecie wy, że ja jak stary furgon wlokę się od karczmy od samego południa.

— To też ogrzejcie się, Salka wam za piecem pościele, dam wam na noc mleka z masłem i połóżcie się wcześniej.

— Oj! nic z tego moja poczciwa Sobkowa; obiecałem na noc na chrzciny Tomkowi Zastawnemu, trzeba iść, bo to krewniak, a trzymałem mu dziś owo dziecko do chrztu.

— Ej! na taki mróz, na taką zawieję, a tu kawałek drogi, mówi Salusia, dziadku nie chodźcie.

— Może też wróci z Warszawy parobek, toby was odwiózł, dodaje Sobkowa.

— Nic z tego, nic, ja taki powlokę się, powoluśku, a zajdę; i to mówiąc, zaczął szukać swego kija i torby, gdy Salusia szepnie do matki: ja go odprowadzę, co?

Matka skinęła smutnie głową, a dziewczyna chyc do komory, chustkę narzuca na głowę i dziadusia pod rękę. Opierał on się temu z początku, mówiąc, że go wstyd jako dawnego żołnierza; lecz dziewczyna tak się przymilała, tak prosiła, że rad nie rad dał się poprowadzić.

Na dworze już się ściemniało, śnieg drobny pruszył, choć powietrze mroźne. Przez wieś więc, gdzie były wydeptane ścieszki, szło im jakotako, ale wszedłszy na główny gościniec, dziadusiowi nogi grzęzły w śniegu co chwila; biedak z ciężkością ledwie mógł je wydostawać, a kaszel tymczasem dokuczał mu coraz bardziej i kolka kłuła w boku

krzyże zaś jakby kto łamał od góry do dołu. Szedł więc, a jęczał, aż nareszcie mówi:

— Usiądźmy trochę Salusiu... Wiesz co, wróć ty się dzieweczko, ja już sam dojdę.

— Tu tego nie zrobię; wy dziadusiu ledwo stoicie na nogach, a niechbyście się przewrócili, tobyście już nie wstali, bo mróz duży...

— Baj baja jeszczebym cię przeskoczył, mówi, śmiejąc się przymusowo dziadek. Ale kiedy przyszło wstać, ani rusz. Nie mogę Salusiu, nie mogę, nogi zmarzły... bolą... oj nie mogę... a dusi...

Tu dopiero kłopot dziewczynie; woła na ratunek, ale gdzie tam, kto na taką zawieję usłyszy! Chce lecieć do wsi, to znowu jakże zostawić samego dziadka; może kto jechać, jeszcze go rozjadą, a stary jęczy, że już umiera i umiera. Nie wiele tedy myśląc poczciwa Salusia owija dziadka swą chustką jak małe dziecko i dygocząc sama od zimna, wlecze go, dźwigając prawie napowrót ku domowi. Dziadek się już i opierać temu nie mógł, a dziewczyna co ujdzie kilkanaście kroków, to dziadka posadzi na śniegu, a sama trze ręce i chucha.

Męcząc się tym sposobem, już była niedaleko skrętu do wsi, gdy słyszy zdaleka dzwonienie. Ktoś jedzie sankami w tę stronę, ale jedzie prędko, bo dzwonki coraz głośniej słychać; nareszcie tuż blisko, a ona idzie drogą, gdzie kolej ze śniegu więcej utarta... Sanki tylko co za nią; nie może zejść z drogi, więc krzyknie: stój, stój, stój!

Furman zatrzymał czwórkę, a z sanek z dubeltówką wyskoczył jakiś pan w futrze.

— Kto tu?

— To ja, proszę jaśnie pana.

Pan się roześmiał, fuzyę postawił w sankach i zbliżywszy się do Salusi, pytał znowu:

— Co za ja?

— Guzikówna z kolonii, proszę jaśnie pana.

— A kogo ty prowadzisz?

— Ej to dziadusia Jana, chciałam go odprowadzić do Zastawnego, ale oto zaniemógł w drodze, nie może iść, to go odprowadzam do chałupy do nas, boby biedactwo zmarzł na drodze. A niech się jaśnie pan nie gniewa, żem krzyknęła, bom szła drogą i nie mogłam zdążyć uciec nabok.

— To ty jakaś poczciwa dziewczyna jesteś?

— Eh! proszę jaśnie pana, gdzie mi tam do tego! ino to takie stare a dobre dziadzisko. On z nieboszczykiem tatusiem jeszcze stawiał piec w naszej chałupie, co jeszcze dobry jest teraz.

— Felix, mówi pan do stangreta, wsadź tego dziada do sanek — dziewczyno wsiadaj, to cię zawiozę. Cóż ten staruszek nic się nie odzywa? on już ledwo żyje?

— Oj! żyje jaśnie panie, mówi zpod chustki dziaduś! ino mi zimno; gdyby ciarki po skurze chodzą, a nogi drą — oj! bieda, bieda.

— Wsiadaj, wsiadaj dziewczyno, rzecze podróżny.

— Ej! proszę jaśnie pana, toć go już doprowadzę.

Lecz pan wziął ją za rękę zimną jak lud, wsadził do sanek, otulił futrem i kazał jechać do chałupy Sebestyanowej, którą dziewczyna wskazała.

We wsi zrobił się rumor, gdy usłyszeli głośne dzwonienie, albowiem nie było tędy żadnej drogi; tymbardziej przestraszyła się i Sobkowa, zobaczywszy, że te sanki zatrzymały się przed jej chałupą, a z nich dopiero ujrzawszy Salusię, która jej w kilku słowach wszystko opowiedziała, zaczęła dziękować nieznajomemu panu za tę łaskę, dodając, iż o dziewczynę bardzo była nie spokojna.

— Moja gospodyni, rzecze podróżny, dobrą o bardzo dobrą macie córkę, żeby Bóg każdemu dał takie szczęście jak wasze, a każdemu tyle litości, ile go jest w jej sercu, toby dobrze było na świecie. No dziadusiu, jak że wam jest?

— Oj! lepiej, lepiej jaśnie panie. Niech ci tam Bóg wszechmogący da jak najlepsze zdrowie, niech ci stokrotnie wynagrodzi, niech ci da wszystko.

Lecz podróżny nie słuchał, a rozpytawszy się Sebestyanowej, co to za wieś, do kogo należy, jak ona się nazywa, ile ma dzieci, posiedział trochę w chałupie, zapalił sobie cygaro i pojechał.

Kiedy więc zostali sami matka i córka, a dziaduś za piecem usnął na dobre, dopiero Sebestyanowa opowiedziała wszystko Salusi, i jak zaczęły szlochać obiedwie, i całutką noc ani oka nie zmróżyły, trapiąc się biedą jaka ich czekała. Płaczą, a w tym płaczu jest wszystka obrona, w miłosierdziu zaś Boskiem cała nadzieja.

Nazajutrz raniutko znów we wsi słychać

dzwonki; Sobkowa spojrzała przez okno, aż tu znów te same sanki stanęły przed chałupą, lecz nie ten już pan co wczoraj, ale stary siwy jegomość wysiadł, idąc prosto do chałupy Sobkowej.

— No, jakże tam dziaduś się miewa? zapytał, siadając na ławce przy stole.

— Śpi jeszcze od wczoraj, odrzekła Sobkowa.

Był to doktór przysłany od tego wczorajszego pana; zapisał lekarstwo, obejrzawszy chorego dziadka, który miał się trochę lepiej, powiedział, że tu jeszcze będzie jutro, i pojechał zaraz, a Sobkowa nie miała nawet czasu zapytać się stangreta, zkąd są oni i ten pan wczorajszy. Ale tylko co wyjechał doktór, zjawił się sołtys z wezwaniem, aby Sobkowa stawiła się natychmiast do dworu. Zmartwiona Sobkowa była pewną, że ją wyrzucać będą; zaczęła znów płakać, ale ubrawszy się trochę, pobiegła czemprędzej.

W kancellaryi plenipotenta zastała jego samego, a co najwięcej ją zdziwiło, to owego młodego pana, który wczoraj dziada i Salusię przywiózł do chałupy. Plenipotent jak weszła, dawał jej jakieś znaki, ale biedna Sobkowa nie mogła się na tem zrozumieć.

— Czego wy tak płaczecie kobieto? spytał łagodnie ów pan młody, pochodząc ku Sobkowej; przecież był doktór u was i mówił, że dziadusiowi nic nie będzie. No, no nie płaczcie, a powiedźcie, cobyście sobie życzyli, żeby dla was zrobić? Widzicie, ja jestem nowy dziedzic tej wsi; wczorajszy postępek córki bardzo mi się podobał, ja lubię takich ludzi, bardzo moja kobieto lubię i daj Boże, żeby wszyscy tacy byli. Kto o biednym pamięta, toć i o nim znowu bogatsi pamiętać powinni. Pytałem się o was ludzi, powiedzieli mi, że cała wasza rodzina była i jest uczciwą, bogobojną, pracowitą; chciałbym więc na początek coś dla was zrobić, aby każdy w mych dobrach wiedział, że umiem i chcę dobre uczynki nagradzać.

Wysłuchawszy to Sobkowa, ucieszyła się niezmiernie, a niewiele myśląc, skłoniła się do kolan dziedzica, mówiąc:

— Jaśnie panie, ja niczego nie żądam; z łaski Boga i nieboszczyka dziedzica, mam tyle, co mi na życie potrzeba; tylko zmiłuj się jaśnie dziedzicu, nie pozwalaj, żeby mię z mej pracy wypędzali.

— A kto cię chce wypędzać, kto może to robić bez mojej wiedzy? I mówiąc to, obrócił się do plenipotenta.

— To tak tylko była mowa wczoraj przy sprawdzaniu kontraktów odezwał się rządca; ona nie ma żadnego dowodu na posiadanie kolonii, więc zastraszyłem...

— O co to chodziło? powiedz kobieto, no, niebój się.

Ośmielona tem Sebestyanowa rozgadała się ze wszystkiemi szczegółami o wczorajszej z plenipotententem rozprawie. Dziedzic słuchając tego, strasznie się zaczął gniewać: to chodził po pokoju, to się z żymał i pięście zaciskał, a gdy skończyła, prosząc znów o zostawienie w kolonii, obrócił się do plenipotenta i kazał Sobkową zostawić w kolonii. A ty Sobkowa mówił dalej, pamiętaj, że w każdym razie masz we mnie opiekuna; czego zapotrzebujesz, idź wprost do mnie jakby do ojca. Powtarzam ci, że lubię takich ludzi jak wy jesteście; bo gdzie dobra córka, tam jeszcze lepszą matka być musi. Czy córka nie idzie za mąż?

— Trafia jej się, ale jeszcześmy się nie ułożyli.

— No, to jak się ułożycie, to i krowę i pieniędzy na zapomogę dostaniecie odemnie.

Skłoniła się na taką obietnicę Sobkowa do nóg dziedzica raz, drugi i trzeci, a on ją uścisnął zadowolniony z dobrego swego uczynku.

Rozmowa gospodarcza.

— Proszę pana, do czego to służą te rurki gliniane wypalone, różnej średnicy?

— O! w gospodarstwie rolnem bardzo ważną oddają przysługę, skoro zostaną równo ułożone w głębokości 4 do 5 stóp pod powierzchnią ziemi, tak, aby mogły odprowadzać zbyteczną z pól wilgoć. Takie zakładanie rurek ściekowych, zowią gospodarze *drenowaniem*.

— Zawszeć to one nawozu nie zastąpią.

— Nawozu nie zastąpią, to prawda; ale czyż sam nawóz może zapobiedz roślinie od zmarnienia. Często nawóz jest dla pola straconym, lub ani w części nie przynosi tej korzyści, jakąby przy innych okolicznościach mógł

sprawić. Wiemy, że jak woda paruje np. z ręki, to ziębi ciała, z których paruje; tak samo się dzieje z gruntem, gdy w nim zawiele jest wody. Promienie słońca mające służyć do ogrzewania gruntu, udzielania ożywczego ciepła potrzebnego do wzrostu roślin, zużywają się na wyparowanie wody, i stądto grunta mające wiele wilgoci ciągle są zimne.

Nadto, gdy grunt ma zawiele wody, wtedy i pożywienie dostarczane roślinom przez grunt jest zbyt rozcieńczone; stąd łodygi, liście, zawierają zawiele cieczy, a wystawione na słońce mocno parują z siebie wilgoć, same zaś pozostają ciągle chłodnemi. A gdy ciepło wewnątrz roślin jest za słabe, to wzrost roślin staje się powolny i nigdy nie dochodzi zwykłej wielkości.

— A to proszę pana, w czasie skwarnego lata na polach opatrzonych takiemi ściekami, jeszcze prędzej słońce wszystko wypali.

— To właśnie jest ciekawe i na pozór trudne do zrozumienia, że grunta mające takie podziemne rurki, zabezpieczają w czasie skwaru i posuchy od wypalenia, wtedy, gdy na innych gruntach wszystko wyżółknie. Cały sekret na tem polega, iż w gruntach drenowanych rośliny zapuszczają swe korzonki głębiej, tak, że choć słońce wysuszy zwierzchnią warstwę ziemi, rośliny nie przestają ciągnąć soków z głębszych warstw, i tym sposobem przetrzymują suszę.

— Być to może, że takie rurki dobrze działają, ale zdaje mi się, że nie na wszystkich przydatne są gruntach, np. na gliniastych wcale są niepotrzebne.

— A właśnie i na gliniastych wielką są pomocą. Mokra glina staje się zbitą i nie przepuszcza do wnętrza ziemi powietrza; lecz po osiąknięciu wody, kurczy się, rozpęka, kruszeje i łatwą staje się do uprawy. Skoro więc zbytek wody deszczowej wyjdzie przez takie rurki, wtedy i powietrze łatwiej dostać się może w głąb' uprawnej roli. Tak więc odciąganie zbytnej wilgoci po każdym deszczu z gliniastej gleby, wpływa na odświeżenie powietrza w gruncie, a świeże powietrze koniecznie jest potrzebne dla życia roślin, przetrawienia nawozu i jego przegnicia.

Zresztą mój przyjacielu, rurki odciekowe czynią często zdrowszym grunt, na którym są założone. Można niekiedy widzieć, że na żyznych gruntach rośliny pięknie wschodzą aż do zakwitnienia, potem raptownie słabną i ostatecznie nikną. Jest to dowodem, że w głębi gruntu pod rodzajną ziemią, zkąd dorosłe rośliny ściągają soki swemi korzonkami, znajdują się materye szkodliwe dla roślin. Wtedy to założone rurki odciekowe odprowadzają te szkodliwe części, a natomiast wpuszczają powietrze i tanim kosztem dają możność rolnikowi poprawienia swego pola.

— Prawda to być może, proszę pana, ale zaprowadzenie takich glinianych kanałów, to wiele kosztować musi; to nie dla nas panie!

— Koszt wprawdzie na raz jeden jest znaczny, ale rozłożywszy robotę na lat kilka, można z niewielkiemi pieniędzmi dojść do zdrenowania znacznej przestrzeni; gdyż łożone wydatki szybko i sowicie się wynagradzają przez łatwiejszą uprawę gruntu, lepsze i pewniejsze zbiory, a nakoniec przez możność uprawiania pszenicy, turnepsu, tam, gdzie przedtem zaledwie owies zbierać było można.

ŻYCIORYSY KMIECI

VIII.

Idzi Łukawski.

Gospodarz wieczysto czynszowy w kolonii Stawki, gminie Piekary, parafii Skęczniew, w okręgu Wartskim, guberni Warszawskiej; liczy lat 46. Syn Jana i Małgorzaty włościan z Boleszyna, chowany przy rodzicach, uczył się czytać i pisać u miejscowego organisty, potem używany był do pisywania u proboszczów, wójtów gmin i burmistrzów w okolicy. W 22 roku życia ożenił się we wsi Kozubowie z córką włościanina; mieszkał 2 lata przeszło przy rodzicach żony, nabył wreszcie w kolonii Podłężyce 4 morgi łęgu, który wykarczował — dalej przykupił znowu 4 morgi, wystawił budynki, a po trzynastu latach gospodarowania w Podłężycach, dorobiwszy się przez wychów bydła większego funduszu, gospodarstwo w tem miejscu sprzedał, a okupił się przed 8 laty na kolonii Stawki, gdzie dotychczas mieszka.

Obszerność posady jego wynosi mórgów $28\frac{1}{2}$, w tem 6 morgów łąki. *Grunta* orne w kierunku od wschodu ku zachodowi w jednym

osobnym dziale, wzgórkowate, mocno szczerkowe, a nieco tylko mocniejsze na pochyłości pagórków. Gospodarstwo dowolne skierowane głównie do produkcyi żyta i ziemniaków, do czego pomaga dostateczna ilość siana, z łąki dobrze utrzymywanej. Inwentarz składa się z pary koni, 11 sztuk rogacizny i 17 sztuk owiec. Dom mieszkalny, obora z stajnią, stodoła z sypaniem na zboże, wozownia ze schowaniem zamkniętem; wszystko w stanie dobrym. Pługi, brony, wozy, bardzo dobre i do miejscowości właściwe; uprząż rzemienna bardzo porządna. Zarobkowanie ogranicza się na zajęciu koni do wywozu produktów. Dom składa się oprócz gospodarza i gospodyni, z 6ga dzieci, z których najstarszy syn ma lat 16, i z dwojga służących. Czynszu opłaca rocznie złp. 114 bez żadnych innych dla dworu powinności. Dzieci wychowuje odpowiednio do swego dzisiejszego położenia.

Łukawski jest postawy zdrowej i silnej, ubrany zawsze porządnie i czysto. W rozmowie okazuje bystrość i roztropność niepospolitą, oraz otarcie się pomiędzy ludźmi. Widać już w nim pojęcie o lepszym sposobie gospodarowania i zabiegłość o pomnożenie swego mienia, z obliczania skutków przy każdem przedsiewzięciu.

Dom mieszkalny z drzewa wystawiony na podmurowaniu, bardzo porządny i czysto utrzymywany zewnątrz, w kształcie dworku o izbach na dwie strony.

Z jednej strony od południa sad, a z drugiej od połowy wjazd na dziedziniec za domem; wszystko ogrodzone żerdziami rzniętemi, ujętemi w słupy i koły dębowe. W sadzie jest około 60 sztuk drzew owocowych, wiśni i jabłoni, między któremi połowa młodych szczepów. Sam gospodarz własną je ręką sadził i szczepił; drzewka utrzymywane są czysto i starannie.

Poza domem stoją budowle gospodarskie, to jest stodoła, obory, szopy, i t. d., wystawione w okólnik z dziedzińcem we środku, w którym naboku gnojnik, porządnie i trafnie urządzony. W dziedzińcu czysto; pługi, brony, wozy, uprząż, wszystko pod dachem ustawione i ułożone porządnie.

Para koni młodych średniego wzrostu, utrzymywanych starannie, z których każdy wart około 70 rs., 6 krów dojnych i 5 sztuk jałowizny miejscowej łęgowej rassy, w utrzymaniu widocznie starannem, 17 sztuk owiec zwykłych włościańskich, ale utrzymanych dobrze.

Ogród warzywny niewielki, bo grunt nie bardzo na to przydatny. Za domem i budynkami grunta orne więcej szczerkowate jak mocne; ozimina się jednak rodzi w skutek starannego mierzwienia. Jarzyny Łukawski siewa mało, bo grunt za słaby na jęczmień i owies, ale dobrze się udaje żyto, groch i ziemniaki; tych więc produktów najwięcej używa. Oziminy, to jest żyta zbiera średnio po 25 korcy mocnej więzi, z czego po potrąceniu domowej potrzeby i odziewu, sprzedaje około 40 korcy.

Dochód swój czerpie głównie Łukawski ze sprzedaży żyta, ziemniaków i nabiału.

Na spadkach pagórków, któremi grunt jest przecięty, wybiera kawały mocniejszej ziemi, na których siewa koniczynę. Z łąką obchodzi się umiejętnie; część przeznaczoną na sieczenie ogradza na lato, a resztę używa na pastwisko. Przemieniając tak co rok pastwisko na łąkę i łąkę na pastwisko, ma zawsze siano dobre i poddostatkiem.

W końcu gruntu jest lasek dębowy zawierający w sobie przeszło 500 sztuk drzewa, wymiaru średniej kozłowiny i pięknego wyrostu. Podług cen miejscowych sztuka każdego dębu warta najmniej 3 złp. Łukawski jednak wcale go nie używa, chowając skarb ten dla dzieci; bo gdy lasy okoliczne ciągle są wycinane, za lat więc kilkanaście podwoi się, jak to trafnie utrzymuje, wartość drzewa szczególniej porządkowego i będzie czem dzieci wyposażyć. Oby zdanie to rozsądnego gospodarza znalazło echo u posiadaczy znakomitszych lasów, niedość oględnych na potrzeby przyszłych pokoleń.

Towarzystwo Rolnicze mając sobie poświadczone przez właściwą Delegacyę okręgową wszystkie te fakta, wynagrodziło Idziego Łukawskiego listem pochwalnym.

W druk. J. Ungra.—Wolnodrukować.—Warszawa d. 28 wrześ. (10 paź.) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.